



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Kazimierz Garbacz

Chałupę Niemcy zaplombowali

Niedługo przed wybuchem wojny zauważyłem dziwne zachowanie się mojego ojca. Często zabierał mnie ze sobą do miejscowego Kółka Rolniczego, mówiąc krótko, że idzie do kółka. A w tym lokalu, gdzie było Kółko Rolnicze, słuchano radia i było tam zawsze wielu chłopów. Pamiętam zatroskane, poważne twarze innych chłopów, którzy również tego radia słuchali.

Pewnego dnia ojciec przyniósł do domu wielki plakat, na którym było dużo samolotów. Nie rozumiałem treści napisów, ale patrzyłem na ten plakat z podziwem, bo skoro ojciec go w sieni powiesił, to musiał być ważny. Innym razem ojciec zabrał mnie ze sobą do szkoły w Waksmundzie, w której było pełno ludzi i wyświetlano jakiś film o ataku gazowym. Zapamiętałem tylko, że były tam pokazywane postaci w maskach, co napawało mnie strachem i mocniej przytulałem się do ojca.

No i nadszedł ten fatalny dzień.

Musiała to być około godziny 11 przed południem, ponieważ o tej porze zwykle gnałem swoją krowę do domu, po napasieniu jej od rana. Idę więc razem z moją Brzezulą, uwiązaną za rogi na grubym powrozie, drogą, zwaną Glinikiem, i tuż przed wsią spotykam moją mamę, która idzie szybkim krokiem w moim kierunku i płacze. Mamo, dlaczego płaczesz, wołam, a wtedy mama, nie zatrzymując się, mówi: tata idzie na wojnę! Jeszcze wówczas nie rozumiałem tych słów, ale przeczuwałem, że to chyba coś złowrogiego, czego wtedy nie umiałem sobie uświadomić. Wkrótce tata przyszedł, spokojnie powiesił kosę na kołku w przejeździe, bo właśnie kosił żyto u sąsiada, odrabiając za użyczenie konia, bo nasza gospodarka była zbyt mała, aby utrzymać konia.

Ojciec umył się szybko, przebrał w lepsze ubranie, ucałował nas, czyli mnie, młodszego ode mnie o dwa lata brata Józka i najmłodszego Staszka, mającego wtedy zaledwie 4 miesiące, no i oczywiście mamę, z którą razem długo staliśmy przed domem, patrząc, jak tata znika, idąc szybko w kierunku Nowego Targu, na dworzec.

Czas był piękny, słoneczny. Jacyś ludzie przywieźli matce koniczynę z pola, a przy jej wyrzucaniu na strych pomagał również granatowy policjant, który oparł karabin o ścianę i też wyrzucał widłami koniczynę, jak inni. Dziś myślę, że była to jakaś forma zorganizowanej pomocy sąsiedzkiej dla rodzin, z których mężczyźni zostali powołani do wojska.

Za kilka dni listonosz rozdawał pierwsze listy od żołnierzy, ale za każdym razem matka wracała z niczym, zapłakana. I tak było już do końca. A mnie było strasznie przykro z powodu płaczu matki i było mi jej żal.

Pewnego razu matka dała mi pod pachę wielkie kolo chleba upieczonego przez siebie w domu, jeszcze ciepłego, duży kawał słoniny i z jedyną krową kazała iść wraz z innymi na polanę sąsiada,

Mrodego, właśnie tego, u którego ojciec kosił przed pójściem na wojnę. Zapamiętałem straszny upał, a ja, wraz z synem sąsiada, Ptasia, wspinałem się na Styrek, wysoką górę nad naszą wsią, Waksmundem, za którą były polany i bacówki. Tam się właśnie schroniliśmy przed Niemcami, uciekając z bydłem i owcami do lasu, gdy tylko słyszeliśmy warkot samolotu. Było nas tam tyle, że spaliliśmy na podłodze w bacówce, ale było gwarno i wszyscy byli dla siebie bardzo życzliwi.

Pewnego razu na naszej bacówce zapanował niezwykły ruch, ponieważ rozeszła się wieść, że gdzieś nasi walczą i że trzeba im pomóc. Po kilku dniach chłopci jednak wrócili, zawiedzeni, że nie dostali broni. Po latach dowiedziałem się, że w rejonie Wysokiej pod Jordanowem pułkownik Maczek ze swoimi czołgami stawiał skuteczny opór pancernym zagonom niemieckim, wspomagany przez okoliczną ludność, za co potem Niemcy krwawo się zemścili.

Nie wiem, jak długo byliśmy w górach, ale pewnego razu na zwiady do wsi poszedł mój dziadek i przyniósł różne wieści. A to, że niemiecka tankietka wyjechała na Styrek i że Niemcy pytali się, gdzie są mieszkańcy wasi. Że dziadka poczęstowali papierosami i powiedzieli, żeby ludzie przyszli do swoich domów. Więc wróciliśmy i poszedłem do szkoły, do I klasy w Waksmundzie.

Nadal było ciepło i niedaleko od domu, mama wraz z dziadkiem kopała motyką ziemniaki, zabrała też ze sobą najmłodszego Staszka. A ja zostałem z młodszym Józkiem w domu, ściśle przestrzegając poleceń mamy, aby absolutnie nikogo nie wpuszczać do domu, bo chodzą różni wędrowcy i mogą nas okraść albo zrobić coś złego. Tak więc siedzieliśmy pozamykani od środka w domu, ukradkiem patrząc przez okna. Wtem słyszymy, że ktoś dobija się do drzwi z pola. Usiedliśmy na łóżku obaj i tak cicho siedzimy. Ale to znowu uparcie stuka, coraz mocniej. Przez szpary we drzwiach do sieni zobaczyłem postać w długim płaszczu i skojarzyłem to sobie z zakonnikiem. Ależ skąd, nie wpuszczę do domu, bo mama zakazała. Tak myślałem, ale nie dawało mi to spokoju, ponieważ ten „wędrownik” nie odchodził od drzwi i mówił do mnie po imieniu... Przecież to tata! Szybko otworzyłem drzwi i po przywitaniu mnie przez ojca co sił w nogach pobiegłem na pole, gdzie mama i dziadek kopali ziemniaki, krzycząc, że tata przyszedł! Mama cisnęła motykę na ziemię i z dzieckiem na rękach szybko poszła do domu. Byłem bardzo dumny, że ojciec stał się obiektem zainteresowania sąsiadów, którzy szybko zapełnili izbę. Częstował nas jabłkami, które dali mu ludzie po drodze, i opowiadał, opowiadał. Zapamiętałem z tego niewiele, ale utkwily mi w pamięci niektóre fragmenty o nalotach niemieckich samolotów, zabijaniu ludzi uciekających przed Niemcami, a zwłaszcza z fragmentu o siostrze, że ojciec widział spalony niemiecki czołg, którego załoga zamieniła się w kupę popiołu, że uciekł z niemieckiej niewoli...

Któregoś dnia przyszedł do szkoły niemiecki inspektor, który kazał naszemu kierownikowi pozierać wszystkie „Elementarze”, czyli książki do nauki języka polskiego do I klasy. Kiedy nam te książki z powrotem oddano, zauważyłem, że został wycięty orzeł, zajmujący na początku książki całą stronę. Wówczas poczułem się tak, jakby mi ktoś zrobił osobistą krzywdę. I tak zaczęła rosnąć we mnie nienawiść do Niemców, pogłębianą z czasem przez ich działania.

Było to chyba jesienią, być może 1939 roku, gdy na boisko do ojca przyszło trzech młodych sąsiadów, którzy z ojcem długo rozmawiali. Nie pamiętam treści ich rozmowy, ale widziałem, że pożegnali się serdecznie i ojciec długo patrzył, jak oddalali się na południe, w kierunku Tatr. Po latach dowiedziałem się, że namawiali ojca, aby wraz z nimi poszedł do Polskiej Armii na Zachodzie. Ale ojciec powiedział im, że nie może zostawić bez środków do życia żony i trojga małych dzieci.

Innym razem, już zimą, po południu, widziałem, jak naprzeciw naszego domu, do sąsiadów, przyjechało auto osobowe, z którego wysiedli gestapowcy i długo tam siedzieli. Akurat wtedy ojciec obierał ziemniaki na kolację i co chwila patrzył w tamtym kierunku. Wreszcie wyszli i odjechali. Byli w czarnych mundurach, z czapkami z przodu podniesionymi do góry, w butach z cholewami i bryczesach. Okazało się, że dopytywali się o ich syna, który właśnie był jednym z tych, którzy na boisku ojca pożegnali się z nim i poszli na Zachód. Ale gdy w czasie ich pobytu u sąsiada patrzyłem na ojca, to widziałem, że był zdenerwowany, chociaż nic nie mówił, tylko zerkał tam co chwila.

A do naszych dziecięcych uszu dochodziły coraz to straszniejsze wieści. Oto ludzie ze zgrozą opowiadali, że w Nowym Targu Niemcy zabijają Żydów, a tata w domu mówił, że jakiś Żyd się go pytał, czy są jeszcze przepiórki, bo Żydzi podobno mają jakąś przepowiednię, że jak przepiórki przestaną śpiewać, to oni zginą... Innym razem, gdy w domu byliśmy sami z młodszym bratem Józkiem, to przyszła do nas młoda Żydówka z rodziny mieszkającej w Waksmundzie. Prosiła, żeby jej coś dać. Żal mi jej było, więc dałem jej kawałek chleba. Była taka miła i ładna. Po jakimś czasie gruchnęła po wsi straszna wiadomość, że całą rodzinę, chyba 7 osób, Niemcy zastrzelili za ich domem.

W piękny, słoneczny dzień wiosenny mieliśmy Pierwszą Komunię Świętą. Ale najpierw były przygotowania do niej. Jak ja to przeżywałem? Wychodziłem na stodołę na siano, tam liczyłem te swoje biedne grzeszki, spisywałem je na kartce i autentycznie starałem się wszystko zrobić jak należy, aby do Komunii przystąpić jak najgodniej. To było rzeczywiste przeżycie. A po Komunii wspólne przyjęcie wszystkich dzieci z matkami przy kościele. Jak już wspominałem, była piękna słoneczna pogoda, jakby cały świat się w ten dzień radował.

Stoły były długie, jeden za drugim, a na stołach to, co w czasie wojny było dostępne. A więc chleb z masłem i marmeladą i kawa z mlekiem. Ale największą radość sprawiły nam obrazki na pamiątkę Pierwszej Komunii i zdjęcia. Żadnych prezentów nie było i nikt na nie nie liczył. Ubranie do Pierwszej Komunii mama pożyczyła od jakiejś znajomej z Nowego Targu, bo na własne rodziców nie było stać. Zapamiętałem, że było to ładne ubranko, białe krótkie spodniki i także marynareczka.

Nie rozumieliśmy rozgrywających się wydarzeń, ale pamiętam jakąś dziwną, poważną, a nawet ponurą atmosferę, jaka towarzyszyła spotkaniom starszych, bo ojciec często mnie ze sobą zabierał na wieczorne posiady u sąsiadów, jak to się wówczas mówiło „na chałupy”. Któregoś dnia, podczas spotkania z innymi pastuchami, którzy też paśli krowy jak ja, dowiedziałem się, że wydarzyło się coś strasznego. Że ktoś spalił dom i kogoś zastrzelono. I po przygnaniu krowy do domu okazało się, że został zabity ojciec, żona i półtoraroczny synek Józefa Kurasia, który w górach organizował partyzantkę. A dom ich został spalony. Błady strach padł na wieś, ludzie mało mówili, ale w milczeniu przeżywali swój strach. Ojciec nie pozwalał iść na pogorzelsko, niektórzy zaś koledzy mówili przy krowach, że chodzi o jakichś „desantów”, bo wówczas „desantami” nazywano w Waksmundzie partyzantów. Była to zemsta i próba zastraszenia wsi za organizowanie się we wsi antyhitlerowskiej partyzantki w ramach Konfederacji Tatrzańskiej, której pierwszym oddziałem partyzanckim dowodził syn, mąż i ojciec zamordowanych, Józef Kuraś ps. „Orzeł”, który po tym tragicznym wydarzeniu przyjął pseudonim „Ogień”.

Ale na tym nie koniec. Oto w dniu 4 lipca 1943 roku Niemcy otoczyli szczelnie całą wieś. Była to piękna słoneczna niedziela. Ludzie przyszedli z kościoła i spokojnie spożywali południowy posiłek. Pamiętam to dokładnie. Kiedy po obiedzie stanąłem na mostku przed domem, zauważyłem, że przyjechały dwa auta kryte plandekami, na których siedzieli Niemcy, wszyscy w hełmach i z karabinami. Przerażony, szybko wpadłem do domu i od progu krzyczę: tato, Niemcy jechali na samochodach, wszyscy w hełmach i z karabinami, co do jednego! A ojciec leżał sobie na łóżku, ręce miał założone pod głowę, z nogami na szczycie łóżka i zażartował ze mnie: co do jednego? Poczulem się zawstydzony, ale jednak ojciec wstał, ubrał się w mundur strażacki i poszedł do remizy na zbiórkę. A przez okno widzimy, jak żołnierze niemieccy prowadzą ludzi, kobiety z dziećmi, mężczyzn, młodych i starych, wszystkich. Po chwili idą również, w otoczeniu uzbrojonych Niemców, nasi strażacy, w tym ojciec, który tylko popatrzył na nasze okna. Mama w płacz, ale nie na długo, bo za chwilę przyszedli i do nas. Któryś po polsku powiedział, żeby się mama ubrała i ma iść z nimi. Mama się pyta, czy może wziąć dziecko. Odpowiedzieli, że może. Więc poszła z czteroletnim braciszkiem Staszkiem, a ja i młodszy brat zostaliśmy w domu. Nam nie kazali się zabierać z mamą. Tylko na odchodnym mama mi powiedziała: Kazek, opiekuj się bratem! I nastąpiła cisza. Przerażliwa cisza. Co robić? Zostaliśmy sami.

Ale przyszła pora wyganiania krów do pasienia. Wyganiać, nie wyganiać? Patrzę przez okno i nic nie widzę, aby ktoś wyganiał paść. Ale naprzeciwko po drugiej stronie drogi widać, że w oknie jest kilkoro dzieci. Bez namysłu porwałem 9-letniego brata Józka za rękę, zamknąłem dom i hop, szybko na drugą stronę. Nikt nam nie przeszkadzał, a dom naprzeciwko u babki Bylinkowej był otwarty. Tam poczułem się lepiej, bo było nas kilkanaścioro i stara Bylinka dawała nam jedzenie i picie. To znów modliła się z nami i tak na przemian. Ale nie wytrzymałem, bo byłem nauczony o tej porze paść krowę. Nawet do głowy mi nie przyszło, że można krowie po prostu dać siana. Miałem zakodowane w swojej dziecięcej głowie, że siano jest na zimę, więc w lecie nie wolno go ruszać... Powiedziałem więc bratu, aby został u Bylinki, a ja pójdę z krową. Wychodząc z domu z krową, czułem na sobie jakiś prąd strachu na grzbiecie, ale nikogo nie widziałem, cisza. Więc uwiązaną na powrozie krowę pasłem na miedzy, czyli kawałku zielonego paska między rolami, pociągając ją coraz to szybciej, ponieważ przyszło mi do głowy, że może uda mi się przejść z krową przez pobliską wieś Gronków do Ostrowska, gdzie mieszkają wujkowie, bracia mamy. Tak myśląc, odszedłem z moją krową około 30 metrów, gdy usłyszałem zupełnie blisko świst kuli jednej, drugiej... Straszny strach mnie obleciał, skurczyłem się w sobie, jakbym chciał się pod ziemię zapaść, nawróciłem krowę ku domowi i zacząłem coraz szybciej wracać do domu. Wtedy przestali strzelać. Ale w tym momencie jak spod ziemi wyrosło dwu gestapowców. Stanęli obok mnie i kazali sobie podać laskę, na której miałem wyrzeźbione różne znaki, jakie często z nudów rzeźbili sobie na laskach z leszczyny pasterze. I zaczęli pytać: co to oznacza, a co to oznacza? Sprawdzali, czy z góry lub z dołu nie jest zatkana jakimś kolkiem, czy w środku tej laski czegoś nie ma. Nie było, więc kazali mi iść do domu. Jeszcze się tylko pytali o jakiegoś Kudasa, gdzie mieszka. Wiedziałem, że we wsi są dwie rodziny o tym nazwisku, ale wiedziałem już, że Niemcom nie należy mówić prawdy, dlatego powiedziałem, że Kudas mieszka na Dole, czyli w przeciwnym kierunku w stosunku do tego, o którym już wiedziałem, że jest w lesie. Coś im nie pasowało, ale dali mi spokój i poszli. Wtedy najszybciej jak mogłem zaprowadziłem krowę do domu, zamknąłem dom i szybko jak mogłem poleciałem naprzeciwko do Bylinki, gdzie był mój brat i inne dzieci. Wiedzieliśmy, że wszystkich zabranych ludzi Niemcy zgromadzili na cmentarzu koło kościoła. Wziąłem więc brata ze sobą i poszliśmy na strych zobaczyć, co się dzieje na tym cmentarzu, bo przez małe okienko w szczycie widać było wszystko. Nagle widzimy, jak na cmentarz, gdzie chowają zmarłych, idzie grupa Niemców,

a między sobą prowadzą jakichś ludzi. Kazali im uklęknąć i strzelali do nich seriami z broni maszynowej, a potem jeszcze pojedynczymi strzałami. Gdy to zobaczyłem, ogarnął mnie straszny strach i przerażenie, powiedziałem do brata: chodź, idziemy do mamy na cmentarz. Było mi już wszystko jedno, byle być z mamą. Pobiegliśmy więc ku kościołowi i w momencie wchodzenia do furtki na cmentarz koło kościoła usłyszałem brzmiące do dziś w moich uszach słowa: alles heraus! Wszyscy rzucili się do wyjścia, rzeka ludzi, a ja przerażony, trzymając Józia za rękę, wypatrywałem matki, a gdy ją zobaczyłem, uczepiłem się jej jak kleszcza i tak doszliśmy do domu. A z dwu stron wsi unosiła się chmura dymu i buchającego ognia, ponieważ Niemcy podpalili dwa domy, w których mieszkali partyzanci, w tym komendant miejscowej Straży Pożarnej.

Plącząc, czekaliśmy do późnej nocy na powrót taty, który wreszcie przyszedł zmęczony, osmalony i w podartym mundurze strażackim i opowiedział nam, że gestapowcy zebrali ocalałych strażaków i powiedzieli im, że ten dom musi się spalić, a te, czyli sąsiednie, nie mogą się spalić, pod groźbą rozstrzelania. Tak więc za pomocą ręcznej sikawki zaprzęganej w konie oraz wiader uchronili sąsiednie budynki od spalenia, kosztem nadludzkiego wysiłku. Tym razem byliśmy szczęśliwi, że znowu jesteśmy razem, bo hitlerowcy rozstrzelali na miejscowym cmentarzu 5 osób podejrzanych o przynależność do ruchu oporu, spalili dwa domy i zabrali kilkadziesiąt osób do obozu koncentracyjnego w Krakowie Płaszowie.

Ale nasze szczęście nie trwało długo. Już 28 września 1943 roku, w Michała – pamiętam tę datę dobrze, ponieważ na odpust św. Michała chodziliśmy do sąsiedniej, rodzinnej wsi matki, Ostrowsko – wczesnym rankiem, jeszcze była mgła, przyszli do nas żołnierze niemieccy i brutalnie dobijając się do drzwi, zbudzili nas ze snu. Ojciec ubrał się szybko i wyszedł otworzyć drzwi do sieni. Weszli Niemcy, z których jeden uderzył ojca w twarz, szarpiąc go za wojskowy pas, który ojciec miał w spodniach. Przeszukali cały dom, kazali się również matce ubrać i zabrali ich. Byłem zrozpaczony, bo nadeszło to, co nieraz matka mi przypominała: Kazek, jesteś najstarszy, pamiętaj, żebyś opiekował się młodszymi, żebyście nie zapomnieli jak się nazywacie i nie zapominajcie pacierza. Położyłem się już w ubraniu na łóżku i rozpaczliwie myślałem, co teraz robić. Po jakimś czasie ktoś dał mi znać, żebym szybko poszedł do szkoły, bo tam wszystkich zebrali i żebym zaniósł mamie moskol, czyli placek z mąki pieczony na blasze na kuchni. Natychmiast zabrałem jeszcze gorący moskol i biegiem poleciałem do szkoły. Niczego nie podejrzewając, wpadłem na korytarz, ale we drzwiach stało dwu żołnierzy niemieckich, z których jeden tak uderzył mnie w twarz, że zaraz zalałem się krwią i placek wypadł mi na schody. Coś jednak ze sobą pogadali, bo kazali mi ten placek zabrać i wejść, kiedy im powiedziałem, do kogo i po co idę.

Na korytarzu zobaczyłem matkę siedzącą w kucki pod ścianą, dałem jej placek i pytam się, gdzie tata. A mama na to zboliałym głosem: słyszysz... Rzeczywiście, słyszałem jęki dochodzące z sąsiedniej klasy... Mama poprosiła mnie jeszcze, abym szybko przyniósł sweter i rękawice dla ojca, więc znowu biegiem poleciałem do domu i natychmiast z powrotem do szkoły, ale tym razem wartownicy niemieccy nie robili mi już przeszkód. Wkrótce, stojąc przed domem, zobaczyłem niemieckie auta pod plandekami wiozące ludzi w kierunku Nowego Targu, a z tyłu siedzieli niemieccy żołnierze w hełmach, z bronią skierowaną w stronę więzionych ludzi.

Tak więc zostaliśmy sami, ja, mający wówczas 11 lat, młodszy Józek, mający 9 lat, i najmłodszy z nas, Staszek, mający 4 latka.

Nie widząc innego wyjścia, poszedłem do pobliskiego Ostrowska, oddalonego od Waksmundu o niecałe dwa kilometry, gdzie mieszkało dwu wujków i chrestny ojciec. Opowiedziałem, co zaszło, i na drugi dzień zeszli się wszyscy trzej wujkowie, bracia mojej matki, bo trzeci mieszkał „za górami”, jak to się mówiło, w Porębie Wielkiej, koło Mszany Dolnej; podzielili się nami i gospodarstwem. Najlepszy był wujek Antek, który dość szybko przyszedł przez Gorce. Kazał wybić cały drób, kazał skubać i kłaść do garnka, a że lubił wypić, więc całe wydarzenie przeżywał na swój sposób. Całą gospodarkę, krowę i mnie zabrał wujek Jasiak z Ostrowska, który miał dziewięcioro dzieci, a ja byłem dziesiąty. Najmłodszego Staszka zabrał mieszkający obok wujek Franek. Mówiąc o gospodarce, trzeba powiedzieć, że było tego niewiele, bo niecałe dwa hektary i to w 7 kawalkach.

Do szkoły nadal chodziłem do Waksmundu, już do 4 klasy. Kierownikiem szkoły był teraz starszy pan, który mówił jakoś tak śmiesznie, np. zamiast czaszka, to on mówił ciaaaśka i dlatego koledzy przezywali go ciaaśka. Później dowiedzieliśmy się, że uciekł przed bolszewikami ze Lwowa. Jednak bardzo go lubiliśmy, a ja szczególnie, bo podobno uczyłem się dobrze i w nagrodę zawsze na dużą przerwę ja miałem zaszczyt dzwonienia dzwonkiem, oczywiście ręcznym, bo wtedy innych nie było.

Ale zbliżała się zima, a ja nie miałem butów i nie było szans, aby mi je wujek kupił. Wtedy przyszła mi do głowy myśl, niemal bluźniercza, ale nie widziałem innego wyjścia. Przerobić tatowe buty na mniejsze, aby pasowały na moje nogi... Wielokrotnie widziałem, jak tata naprawiał buty, bo nie było pieniędzy na zapłacenie szewca. Przypatrywałem się tej pracy i dokładnie wiedziałem, jak się robi buty ręcznie. Trzeba mieć odpowiednie kopyto, mocne igły, dratwy, kołki i młotek, no i szydło. Ale co powie tata jak wróci? Bałem się, że jak przerobię tatowe buty, to tak, jakbym liczył na to, że tata nie wróci. I tak przez dłuższy czas biłem się z myślami, nikomu o tym nie mówiąc. Bo i komu? Wreszcie pewnego

dnia poszedłem do znajomego moich rodziców w Waksmundzie i poprosiłem, aby mi pożyczył kopyta pasującego na moje nogi. Ten popatrzył na mnie uważnie, popytał się dokładnie, jak chcę to zrobić, i widać doszedł do wniosku, że sobie poradzę. Pożyczył mi kopyta, dał dratwę, czyli odpowiednio grube nici, igłę, kołki i tak wyposażony, zadowolony, przyszedłem do domu, czyli do wujka, bo nasz dom w Waksmundzie Niemcy zaplombowali. Zabrałem się do roboty, choć jeszcze miałem opory, że tatowe buty psują... Wujek przyglądał się, ale nic nie mówił. Ale gdy zobaczył, że wychodzą mi z nowych tatowych butów mniejsze, pasujące na mnie, widać było, że jest raczej zadowolony. No i wedle wszelkich prawideł szewskiego rzemiosła buty na mniejsze przerobiłem! Niestety, za mało miałem siły w dziecinnych palcach, aby mocną nicią dobrze naciągnąć cholewki na kopycie, wskutek czego moje buty szybko przemakały, gdy było na polu wilgotno. Ale buty były i to się liczyło.

W szkole uczyliśmy się języka polskiego, rachunków i przyrody. Były jeszcze zajęcia z gimnastyki i religii oraz tzw. roboty, czyli coś w rodzaju zajęć technicznych, na których strugaliśmy z drewna różne pudełka, wozy, sanki itp. Książek nie było, tylko co jakiś czas przychodziły czasopisma, czyli tzw. Stery, na które czekaliśmy niecierpliwie, bo było to jedyne słowo drukowane, jakie nam było dostępne w szkole w czasie okupacji.

Zimą z 1943/44 rok w pobliżu naszej szkoły Niemcy rozstrzelali dwu mieszkańców Waksmundu. A z pobliskiego Nowego Targu dochodziły straszne wieści, że Niemcy zabijają wszystkich Żydów, potem przyjdzie kolej na nas, Polaków... Strach był wielki, ale życie toczyło się nadal.

Wujek posyłał mnie do sąsiada, aby na żarnach zemleć żyta na sapkę, czyli, jak gdzie indziej mówili, na kaszę. Sapkę gotowało się w ten sposób, że do wrzącej wody wsypywało się pomału gruboziarnistą mąkę żytnią lub jarcaną, czyli jęczmienną, w czasie gotowania mieszało się to w żeliwnym garnku i po jakimś czasie tak ugotowaną sapkę rozciągało się na misie glinianej. U wujka jedliśmy przeważnie tą sapkę z kwaśnicą, czyli wodą spod kiszzonej kapusty, jałową, czasem z dodatkiem bryndzy. Ale w domu, gdy jeszcze byliśmy z rodzicami, to sypkę jedliśmy z mlekiem, ze śmietaną, a najbardziej lubiłem ją omaszczoną tłuszczem z topionej słoniny i ze skwarkami. Ale wujka na to nie było stać i jak żeśmy usiedli wokół tej glinianej miski, to nie było czasu na zastanawianie się, czy smakuje, czy nie, bo trzeba było szybko śmigać drewnianymi łyżkami, aby do wieczora nie być głodnym... Wszystko smakowało, bez wydziwiania i grymaszenia. Zresztą, nikt by się tym nie przejmował.

Przypominam sobie, że był w Waksmundzie ks. Jan Wolny, który uczył nas religii. Rozdawał dzieciom, których rodzice byli w obozach, pieniądze. Mnie też dał 500 złotych, za które wujenka kupiła mi portki, podobno robione z pokrzyw, bo były takie sztywne jak blacha, zwłaszcza gdy po deszczu były mokre.

Ale pewnego razu po tego lubianego przez nas księdza przyszło gestapo, lecz ostrzeżony przez gospodynię, uciekł do pobliskich krzaków nad Dunajcem, a gestapowcy dopytywali się, gdzie jest ten czarny diabeł. Został przeniesiony gdzieś koło Krakowa, a na jego miejsce przyszedł inny ksiądz, którego jednak już nie lubiliśmy tak jak tamtego.

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni pasłem wujkowe krowy i owce. Wyganiało się je rano razem z innymi pasterkami i pastuchami, puszczało na skraju lasu i szły sobie, pasąc się coraz dalej, w las i krzaki, jałowce, a potem wieczorem wychodziły inną stroną. Bywało, że pod wieczór nie wiedzieliśmy, gdzie jest nasz dobytek. Wtedy chodziliśmy po lesie i szukaliśmy ich, nasłuchując, gdzie słychać dzwonki, jakie miały przypięte do pasków na szyi. Nieraz najadłem się strachu, bo co by się stało, gdyby mi krowa lub owca zginęła? Nie miałym po co wracać do wujka, a on był strasznie nerwowy. Raz przyłapał mnie, jak bez jego zezwolenia nabrałem z beczki kilka garści bryndzy do kieszeni w spodniach, bo byłem autentycznie głodny. Oj, dostałem ja wtedy, dostałem, takim mocnym kijem bukowym, aż mnie sąsiedzi ratowali, to znaczy sąsiadki, bo one miały więcej litości i chyba mnie rozumiały. Ale wujek na swój sposób miał rację, bo bryndzę miał schowaną na cały rok, dla wszystkich, a ja chciałem mu ten zapas uszczuplić, nie pytając o zgodę...

Kiedyśmy przynęśli krowy i owce pod lasy, gdzie miały się paść, to czas spędzaliśmy na różne sposoby. A to graliśmy w pliszkę, w świnie, goniliśmy się, a starsi też mieli swoje zajęcia... Jeden z pośród pastuchów, syn bogatego rolnika Jacek Kozioł, chodził do „handłówki”, czyli takiej jakby szkoły zawodowej handlowej. Często przy krowach pisał lub czytał. Zauważyłem, że pisze jakieś dziwne znaki w zeszytach. Gdy się tym zainteresowałem, kupił mi odpowiedni zeszyt, ołówek i zaczął uczyć stenografii, bo właśnie była to stenografia, której on uczył się w tej handłówce. Bardzo mi się to po wojnie przydało, ponieważ z braku podręczników, nauczyciele w gimnazjum dużo dyktowali, a ja, mając podstawy stenografii, potrafiłem zawsze szybciej zanotować dyktowany materiał, który potem przepisywałem na czysto, i w ten sposób równocześnie się uczyłem.

W Waksmundzie pozostał jednak dziadek, który nie miał dokąd iść z powodu zaplombowanego domu, więc na zimę przyszedł do nas, do wujka w Ostrowsku. Był z nami przez jakiś czas, ale pewnego razu usłyszałem fragment rozmowy prowadzonej przez wujenkę z jej ojcem. Wpadły mi do ucha słowa o żądaniu zapisu dziadkowego majątku, czyli użytkowanego przez rodziców gospodarstwa. Poczulem podświadomą niechęć do ojca wujenki, który o tym mówił, i miałem wrażenie, że szykują dla nas coś

złego. I w niedługim czasie wszystko się wyjaśniło. Dziadek powiedział mi, abym go zaprowadził do domu. Powiedział, że niech go Niemcy zastrzelą, on się z domu nie ruszy. Więc prowadziłem go prawie 2 kilometry do domu z Ostrowska. Był śnieg, słońce jasno przygrzewało, blask raził w oczy. A ja dziadka prowadziłem za rękę i co chwila pytałem: dziadku, a tu widzicie? A dziadek odpowiadał, że widzi, jak przez mgłę, że dalej nie widzi, słowem, dziadek miał jakąś mgłę na oczach i widział zaledwie metr, półtora przed sobą. Przyszliśmy do rodzinnego domu i dziadek zerwał plombę zawieszoną przez Niemców na drzwiach i powiedział, że się stąd nie ruszy. A ja codziennie rano przed szkołą lub po szkole przychodziłem do dziadka, którego jeszcze bardziej kochałem za to, że nie chciał zapisać obcym ludziom pola, z myślą o nas. Nie umiałem jeszcze gotować, ale sapkę i zasmażkę jako tako umiałem już ugotować, więc mu to gotowałem, maszcząc sadłem, uwieszonym u sufitu w przejeździe, pozostałym jeszcze po rodzicach. Czasami dziadek mi się skarżył, że miał czyszczenie albo bolał go brzuch. Były to pewnie skutki mojego „kucharzenia”, ale gotowałem i maściłem jak umiałem...

Raz wpadłem do dziadka, jak codziennie przed nauką i... zastałem otwarte drzwi do izby, stanowiącej wówczas zarówno kuchnię, pokój i sypialnię. Natychmiast dopadły mnie tysiące pcheł, które poczuły nową ofiarę, i cięły mnie jakby szpileczkami, bo dziadek... leżał martwy na ławie postawionej na środku izby! Zrobiło mi się strasznie przykro i z płaczem poleciałem do sąsiadów, którzy zajęli się trumną i pogrzebem. Kondukt był niewielki, składający się tylko z sąsiadów. Ale dopiero brak mszy Św., jak to nieraz widziałem przy pogrzebach, na które matka czasem mnie zabierała, uświadomił mi, że nie miał kto za nią zapłacić i dlatego trumnę z ciałem dziadka ksiądz tylko pokropił przed furką cmentarną, po czym poszliśmy na cmentarz pochować dziadka. Miałem żal do tego księdza, który przecież musiał wiedzieć, że moi rodzice są zabrani przez Niemców do obozu...

Latem i jesienią 1944 roku Niemcy wyznaczali z każdego domu ludzi do pracy przy budowie okopów, kopanych 3 kilometry na wschód od Ostrowska, we wsi Łopuszna. Wujek wysłał mnie za siebie. Każdego rana trzeba się było meldować i jakiś cywil sprawdzał nasze kartki z listą. Pewnego razu zapytał mnie, ile mam lat, a ja oczywiście, że 14 lat. A skąd ci się tyle wzięło, pyta, ale ja niezbity z tropu śmiało odpowiadam, że mam 14 lat... Machnął ręką i dał mi spokój. Ale raz przechodząc ścieżką ku drodze do Łopusznej, zawołała mnie młoda dziewczyna i zapytała, czy nie wziąłbym jej kartki do codziennego stemplowania na niej obecności, to ona mi będzie dawała dobrą juczynę, czyli drugie śniadanie. Zgodziłem się, chociaż wymagało to trochę sprytu i odwagi, bo przyłapanie na takiej kombinacji groziło poważnymi konsekwencjami. Ale jakoś dawałem sobie radę i w ten sposób ja dostawałem zawsze porządne drugie śniadanie, a ta młoda dziewczyna nie chodziła na okopy... Oboje byliśmy zadowoleni, a ja chyba bardziej, bo przynajmniej najadłem się dobrze.

W ramach obowiązku zwalczania chwastów w zbożu wujek w południe nie pozwalał mi ani chwili odpocząć i wymyślił, abym ze zboża wyciągał oset. Musiałem więc południem, akurat wtedy, gdy był największy upał, iść do Waksmundu, do naszego pola i wyciągać oset, którego było w tym zbożu bardzo dużo. A musiałem to robić własnymi gołymi rękami. Trzeba było chwycić za nasadę łodygi, prawie za korzeń, aby się nie pokłuć, ale nie zawsze się to udawało, więc wieczorem ręce piekły gorzej jak od pokrzyw. I tak chodziłem przez kilka dni. Aż widząc beznadziejność tej pracy, odważyłem się nie wykonać polecenia. Po prostu położyłem się w bruzdzie między sąsiednimi zagonami i... leżałem. Gdy przyszedł czas żniw, drżałem ze strachu, że widząc tyle ostu, wujek mnie zabije... Lecz nic takiego nie nastąpiło. Wujek albo zapomniał, albo się nie zdziwił, że jeszcze dużo tego słońca zostało. Ja się oczywiście nie pytałem...

Nadeszła jesień, więc krowy paśliśmy już po polach, zgodnie z powiedzeniem, że po świętym Michale można paść i po powale, to znaczy, że wszędzie, bo wszystko z pól powinno już być zebrane. Właśnie był odpust na świętego Michała w Ostrowsku i paśliśmy krowy na polach niedaleko kościoła. Odpust zawsze mnie trochę podniecał, coś się działo, były tłumy ludzi, kramy. Naturalnie nie miałem pieniędzy na kupno słodczy w rozłożonych koło kościoła kramach, ale zawsze popatrzeć było można, bo to widok niecodzienny.

Ale ze mną paśli też było starsi ode mnie pasterze. I oni przynieśli wino, którym mnie poczęstowali. Pierwszy raz w życiu. Do dziś pamiętam jakiś stan podniecenia, którego nie znałem nigdy przed tym... Miałem wtedy 12 lat.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Nie cieszyły mnie przygotowania do nich ani choinka. Myślami byłem w domu rodzinnym, pamiętając, jak rodzice stroili przyniesioną przez tatę oblodzoną choinkę, jak ją ubierali na wspólną wigilię, na przyjęcie kolędników. A tu było smutno. I taka dopadła mnie tęsknota i żal, że w Boże Narodzenie postanowiłem iść przez góry, praktycznie przez całe Gorce, do brata Józka, do Poręby Wielkiej koło Rabki. Kiedy wujostwo poszli na mszę do kościoła, ubrałem się w co mogłem, ale przerobionych z ojcowych na mniejsze butów nie ubrałem, bo im nie dowierzałem, czy w górach się nie rozleczą. Ubrałem trzewiki gumowe, sznurowane jak buty skórzane i poszedłem. Drogą na Nowy Targ jechała jakaś furmanka, na której prócz woźnicy była młoda kobieta. Stanęli i pytając dokąd idę, kazali mi wsiąść. Tak dojechalśmy do Nowego Targu w okolicy szpitala, bo właśnie

jechali do kogoś w odwiedzinę, a po drodze poczęstowali mnie kołaczem, za co byłem im bardzo wdzięczny, bo już jeść mi się chciało.

No, chłopcze, wysiadaj, teraz już musisz sam sobie radzić i poszczęśli mi na drogę. A drogę dobrze zapamiętałem, bo w 1939 roku mama zabrała mnie ze sobą właśnie do Poręby Wielkiej, gdy poszła tam w odwiedzinę do swojego brata, czyli do wujka. Dobrze zapamiętałem znaki turystyczne na drzewach, kapliczkę na polanie Kotlarka i Stare Wierchy, gdzie miało być schronisko. Byłem absolutnie pewien, że nie pobiędzę. I tak idąc, zapamiętałem, że po drodze było osiedle cygańskie, gdzie wówczas były pięknie ubrane choinki i błyszczały ozdoby choinkowe, bo właśnie wtedy, w 1939 roku, szliśmy do wujka również w święta Bożego Narodzenia. Idę, idę i Cyganów nie widzę... Rozglądam się i strach mnie obleciał, że noc zapadnie, a ja pobiędziłem i wilki mnie zjedzą... Instynktownie szedłem dalej przez las, nie czując ani zmęczenia, ani zimna, mimo że był mróz i na drzewach gruba okiść, spadająca na mnie białym puchem z poruszonych gałęzi. Miałem szczęście, bo po drugiej stronie góry pokazały się cygańskie zabudowania, a w nich błyskające świecidełkami choinki, jak wtedy, gdyśmy, szli z mamą. To dodało mi skrzydeł i wcale nie czułem zmęczenia ani zimna. Doszedłem do polany Kotlarka i byłem z siebie bardzo zadowolony. Teraz trzeba dojść na Stare Wierchy. Ale tu problem, bo są wydeptane ścieżki, ale nie widać znaków turystycznych. .. Idę kilkaset metrów prosto, zawracam, idę w lewo, to znów w prawo, a znaków nie widać. Jest już po południu i po grzbiecie czuję, jak mnie ciarki przechodzą. Tak się zastanawiając, słyszę: Stój! Podejdź bliżej! No tak, ale gdzie, jak nikogo nie widać... Jeszcze raz komenda: Podejdź bliżej i z lasu wychodzi człowiek w długim czarnym płaszczu, w czapce rogatywce z orzełkiem na niej. Strach mnie już opuścił i chociaż ostro mnie pytał, skąd idę dokąd, to odpowiadałem pewny, że to partyzant, a więc czułem się bezpiecznie. Byłem uradowany, bo o spotkaniu z partyzantem marzył każdy z nas. A ten gwizdnął i za chwilę przyjechał na koniu partyzant w góralskim kożusku bez rękawów, z gołą głową, z automatem przewieszonym przez plecy. Porwał mnie jak zająca za grzbiet, wsadził na konia i poleciał ze mną kilkaset metrów do szałas, w którym było kilkudziesięciu partyzantów siedzących za stołem zastawionym różnym jadłem, a karabiny mieli poopierane pod ściany. Dali mi jeść i pić i ten sam partyzant odwiózł mnie aż nad Koninki, skąd już do Poręby Wielkiej niedaleko. Pokazał mi, gdzie jest osiedle Rusanki, do którego miałem iść, i przykazał, abym absolutnie nie mówił, że widziałem partyzantów. Oczywiście przyrzekłem, że absolutnie nikomu nie powiem i byłem o tym przekonany, bo tak nas ciągle uczono i w domu, i u wujka.

I wreszcie pod wieczór przyszedłem do wujka Antka, gdzie był młodszy brat Józek. Ale wujostwa nie było, był tylko sam Józek. Przywitaliśmy się serdecznie i poszliśmy na poszukiwanie wujka, ale u najbliższych sąsiadów nie znaleźliśmy go. Natomiast chodząc po domach w tym osiedlu, widziałem, że dzieci siedziały bose na łóżkach, na których nie było prześcieradeł, tylko goła słoma, a zamiast podłogi było tylko klepisko z gliny. To był dla mnie widok nowy, bo chociaż u nas koło Nowego Targu też była bieda, to w domach była drewniana podłoga z desek. Ponieważ nie było ani wujenki, ani wujka, więc głodni położyliśmy się spać, bo wszystko było pozamykane. Spać poszliśmy do dużego pieca chlebowego, bo Józek mówił, że jak w nocy przyjdą Ruscy, to pijani zaczną strzelać i wtedy w piecu jest bezpieczniej... I rzeczywiście, w nocy obudził mnie jakiś hałas, krzyki. Ostrożnie wychyliłem się ze swojego legowiska i zauważyłem ludzi okrytych kożuchami, w futrzanych czapach, z karabinami, zachowujących się bardzo hałaśliwie. Domagali się wódki. Wujek dał im bimbru, który w czasie wojny powszechnie pędzono, i poszli sobie. Tym razem nie strzelali, jak ostrzegał brat, i byłem nawet trochę rozczarowany. Za mało wypili... Usnąłem, ale znowu obudził mnie hałas. Tym razem przyszli polscy partyzanci i przyprowadzili ze sobą grubego Niemca, którego pojмали, gdy stał na warcie koło budynku, gdzie stacjonowała grupa Niemców we wsi Niedźwiedz koło Rabki. Widziałem, jak mówił: Jezu Maria i trząś się cały, nie wiem, z zimna, czy ze strachu. Do Ostrowska za kilka dni wróciłem już z Rabki pociągami, bo tak mnie wujek wyprawił, a z Nowego Targu na piechotę, 8 kilometrów do Ostrowska. Gdy do domu wujkowego przyszedłem, spytali tylko, gdzie byłem. Nie zainteresował się nikt moimi przygodami. Jesteś, to jesteś...

Ktoś mi przyniósł pieniądze, abym dał księdzu w Ostrowsku, celem odprawienia mszy za szczęśliwy powrót rodziców do domu. Podobno matka przekazała je w jakiś sposób junakom z Baudienstu, którzy też pracowali w tych samych kamieniołomach poza obozem na Bonarce koło Płaszowa, gdzie więźniów pod strażą doprowadzano i pilnowano w czasie pracy. Byli tam junacy z naszych stron i matka przez nich komuś te pieniądze dała. Więc poszedłem do księdza w Ostrowsku i płacząc, mówię o co mi chodzi. A ksiądz popatrzył na mnie, pieniędzy nie wziął i powiedział, że dobrze, żebym szedł do domu. A ja znowu w płacz, bo myślałem, że jak nie weźmie pieniędzy, to mszy nie odprawi tak jak to było z pogrzebem dziadka... Ale ten ksiądz uspokoił mnie i powiedział, żebym spokojnie wrócił do domu, że msza będzie odprawiona, ale pieniędzy nie przyjął. I rzeczywiście, msza była. Potem dowiedziałem się, że był to dawny kapelan wojskowy.

I nadszedł styczeń 1945 roku. U sąsiadującego z nami wujka Franka stacjonowali młodzi żołnierze węgierscy, którzy częstowali nas chlebem i marmeladą, żartowali z dziećmi. Byli sympatyczni. Pytali

o partyzantów i pokazywali, że chcą im dać naboje do karabinów. Wreszcie kilka skrzyń amunicji zrzucili z mostu na brzeg Dunajca.

Nad naszą wieś zaczęły nadlatywać nieznane samoloty, mówiono, że ruskie. Zrzucali bomby, od których zginął ojciec mojej wujenki, który namawiał dziadka, aby za opiekę przekazał gospodarstwo. Nie żałowałem go, bo byłem za to na niego zły.

I pewnego dnia wielka, choć niepełna, radość: mama wróciła! Miała na sobie kilkoro spodni i była grubo ubrana. Wróciła z Gliwic, dokąd Niemcy ich przed, frontem wywieźli do pracy w kopalni. Stamtąd wraz z innymi uciekli, zabierając po kilka ubrań roboczych, bo było zimno, styczniowy mróz. I za kilka dni znowu przyszedł ojciec, który po różnych przygodach, przez góry, ugoszczony przez partyzantów, nareszcie dotarł do nas. Co za radość? Nie odstępowałem go ani na krok i patrzyłem w niego jak w Boga... Przeszedł front i nalegałem na ojca, aby czym prędzej do domu, do Waksmundu, bo Ostrowska miałem już dość!

Wkrótce w lutym 1945 roku ojciec posłał mnie do gimnazjum w Nowym Targu, bo nasz kierownik szkoły, prof. Józef Pawelczak, powiedział ojcu, że Kazek da sobie radę, więc dali mnie do I klasy gimnazjum w Nowym Targu, mimo że uczęszczałem dopiero do szóstej klasy szkoły podstawowej. Ale z matematyką kłopoty miałem aż do IV klasy, czyli do tzw. małej matury.

Tak wyglądało moje dzieciństwo w czasie ostatniej wojny. Oby już nigdy nasi następcy nie doznali czasów, jakie były udziałem naszego pokolenia, co daj Boże!